

PAWEŁ MARGUERITTE.

## CZARNA KSIĘŻNICZKA

25

(Ciąg dalszy)

— Ile czasu ma trwać każde spotkanie? — zapytał generał. Obaj przeciwnicy jednakowo dobrze władają bronią, musimy umówić się co do przerwy, by dać im możliwość odetchnąć.

— Czy trzy minuty dosyć? — zaproponował drugi świadek hrabiego.

— O, tak — odpowiedzieli jednocześnie książę i generał.

— Według warunków, piersi mają być obnażone — dodał magnat węgierski.

— Dobrze, chociaż nie bardzo jest ciepło — rzekł niechętnie książę, troszcząc się o zdrowie przyjaciela.

— A więc zaczynamy — zdecydował generał.

Przeciwnicy szybko rozebrali się w bocznych pokoikach i wyszli prawie jednocześnie na dziedziniec, gdzie chłodny jasny dzień oświecił nagość ich torsów i błądź twarzą. Książę d'Eylau, kierownik walki, wziął szablę, które doktor Saffroy wymyślił sublimatem i podał jej walczącym: potem skrzyżował ostrza, cofnął się i dał znak:

— Panowie, proszę!

Hartenberg i Morailles jakby cofnęli się od siebie na jedno drgnienie i w tej samej chwili żwawi, gibcy skrzyżowali ostrza z błyskawiczną szybkością następujących po sobie sztychach i paradach, wydając ostry, metaliczny dźwięk, którego najubożniejsi nie mogli słuchać bez wzruszenia. Przejmujący kontrast stanowili obaj ze wzrokiem utkwionym w siebie, szukając miejsca w piersi, podchwytyjąc błędy, by w ścieraniu ostrzy, odbijaniu ich, uchwycić moment, w którym szpadę swą chyż jak piorun, moźnaby było utkwąć w piersi przeciwnika.

Hartenberg, wysoki, gruby świecił swą białomleczną piersią, pokrytą kępą włosów, z ściągniętymi brwiami, obrosłą twarzą, o czerwonym torsie, giętkimi ruchami, podobny był do młodego niedźwiedzia w kniei.

Morailles chudy, suchy, o bursztynowej skórze, gibki, z mięskami drgającymi pod ciałem, wydawał się jak jaguar przyczajony do skoku.

— Stać! — zawołał książę, patrząc ciągle na zegarek.

Trzy minuty upłynęło, końce szpad opadły ku ziemi, przeciwnicy pod maskami uprzejmej obojętności, patrzyli na siebie z nienawiścią.

Jeszcze dwa starcia nastąpiły bez najmniejszego skutku, denerwując tylko markiza i wywołując na twarzy hrabiego jakieś ciemno-fioletowe plamy pod oczami.

— Proszę! — zakomenderował książę po raz czwarty.

Poznał on w grze hrabiego zamiar zdenerwowania i zmęczenia markiza, by wykorzystać następnie upadek jego sił. Markiz jednak domyślił się taktyki swego przeciwnika i całą swą wolę skupił na jednej tylko: udać umyślnie przed Hartenbergiem pozorne osłabienie, a gdy on, sądząc, że chwila nadeszła, wymierzy swój cios, sparować go i użyć swego sztychu.

Hartenberg dał się zwieść; uważając iż odbił szpadę markiza, pchnął swoją silnie naprzód, ale trafił tylko na próżnię. Morailles odskoczył i w tem samem mgnieniu szybki jak błyskawica pograżył swą szpadę w piersi przeciwnika. Hartenberg zachwiał się; na pomoc podbiegli mu świadkowie. Powieki opadły na oczy, na twarzy zamalowało się wyrażenie bólu i wściekłości.

Markiz, nieruchomy, podobny do posagu, z opuszczoną szpadą, zdawał się salutować swego przeciwnika.

— Żałuję bardzo — odezwał się po chwili.

Po tem zadośćuczynieniu konwenansom, obrócił się i poszedł do pokoju, by się ubrać.

— Niema co mówić, mój mały — ja stary mogę tak cię nazwać — dobrześ się spisał: twój sztych lepszy od mego... — mówił generał, towarzysząc panu Morailles.

Ukazał się zaraz i książę, zaferowany ale razem i zadowolony.

— Można ci powinszować... Przed chwilą obawiałem się, ale on sam wpadł w pułapkę, którą na ciebie zastawił. Doskonały sztych! Dostało mu się też porządnie.

— Co mówią doktorzy? — zapytał markiz, zapięując krawat.

— Przedziurawione ma płuco; wyrzucił z siebie całą miednicę krwi i to go może ocali.

W chwili tej ukazał się Saffroy z miną zakłopotaną:

— Tutaj jest telefon, prawda?

— Jest!

— Muszę zatelefonować po pogotowie, rannego bowiem w tym stanie nie można przewieźć samochodem.

— Proszę, niech Picard doktorowi pomoże we wszystkim. Czy są nosze, prześcieradła?...

Pan Morailles był już ubrany.

— Zdaje mi się, że nie mam już tutaj nic do roboty.

— Chyba, że nie — odparł generał. Na mnie czekają ze śniadaniem. Ten biedny Hartenberg przez długi czas nie będzie miał apetytu.

— Jeźdźcie moim samochodem — odezwał się książę — a potem odeszcie mi go. Muszę pozostać tutaj, dopóki nie odwieżą Hartenberga, jest to obowiązkiem gościnności, ponieważ ja wynajmowałem tę salę. Saffroy pozostanie także, by pomagać drugiemu lekarzowi.

— Dobrze, wyraż tym panom moje ubolewanie.

Myśli jednak markiza były w sprzeczności z jego słowami. Czuł się najzupełniej zadowolonym.

— Chciałbym jeszcze powiedzieć jedno słowo Saffroy'owi.

— Zaraz ci go przysię.

Pan Morailles odszedł na bok z doktorem i zapytał:

— Będzie żył.

— Mój kolega twierdzi, że tak, mnie się jednak zdaje, że już po nim!

— Ach, to przykre; ale, mój drogi doktorze, musimy porozmawiać jeszcze o naszym smutnym przedmiocie, zdrowiu markizy.

— Do pańskich usług.

— Czy jeszcze długo tu pan pozostanie.

— Nie, pogotowie przyjedzie w przeciągu dwudziestu minut.

— W takim razie o pierwszej oczekuję pana na śniadaniu w klubie *Aeroplan*, dobrze?

— Proszę bardzo — pospieszył odpowiedzieć Saffroy, wiedząc, że markiz dobrze przyjmuje swych gości.

— A więc zgoda, do widzenia.

— Do widzenia.

— Jedziesz razem, Desboulets?

— Chętnie.

— Ale na śniadaniu pozostaniesz z nami.

— Niestety. Czekają już na mnie. Już późno... Dawny kolega z Algieru.

— Ten, który chodzi w jedwabnej halce różowej i niebieskich pończochach.

— Co znowu — chciał zaprzeczyć generał, uśmiechając się dwuznacznie, gdyż istotnie tym dawnym kolegą była jego przyjaciółka, Alicya Fossette z teatrzyku bulwarowego.

— To cię przynajmniej podwiezie.

— Dobrze, do rogu ulicy Helder.

Wyszli, lecz tuż przy progu spotkali się z dwoma jakimiś panami. Jeden był bardzo elegancki, w monoklu, cylindrze, drugi niższy z aparatem fotograficznym na plecach. Byli zadyszani, oddychając ciężko.

— Ach, panowie! Pojedynek już się odbył! Przybywamy za późno!

— Zdaje mi się, lecz z kim mam przyjemność?...

— Reporter z *Matina* i mój kolega fotograf... Pan markiz Morailles? Poznaję pana i proszę mi wybaczyć... Racz mi markiz dać mały interwiew i pozwoli, że fotograf...

Dał znak fotografowi, który szybko począł ustawiać aparat.

— Przykro mi niezmiernie, lecz nie poddaję się interwiewom. Proszę także uprzedzić redaktora, by był łaskaw nie zajmować swych czytelników moimi sprawami.

— Ależ, panie markizie... Obowiązek dziennikarski... — mówił reporter i ręką poza plecami dawał znak fotografowi.

Generał Desboulets stanął jednak tak blisko aparatu, iż na matówce widniało tylko jego palto.

— Nie zaprzeczam praw dziennikom — odrzekł ostrym głosem markiz — nie pozwolę jednak, by się zajmowano moim życiem prywatnym. Proszę powiedzieć także tym, którzy się tem interesują, iż mogą żałować swej ciekawości.

Markiz i generał wsiedli szybko do samochodu, który z miejsca pomknął tak prędko, iż fotograf, biegnąc za nimi, zdołał tylko uwiecznić na kliszy jedno koło automobilu. Pan Morailles powrócił do pałacu i przebierał się, gdy rozległ się dzwonek przy telefonie.

— Kto mówi? To ty Maud?

— Tak, ja, Henryku. Uspokój mnie... Nie jesteś ranny?

— Ja? Nie.

— Co za szczęście! Nic, nawet zadrasnięcia?

— Nie.

— A Hartenberg?

— Bardzo cię to interesuje?

— Tylko z powodu ciebie, tak... chyba rozumiesz...

— Trochę więcej, niż raniony, trochę mniej, niż zabity.

— Przyjdź do mnie prędko... O piątej, dobrze?

— Czy nie sprawa ci to przykrości?

— Co takiego?

— Hartenberg...

— Cóż może mnie to obchodzić? A więc o piątej oczekuję cię.

Markiz nie odpowiedział natychmiast, namyślając się nad rozkładem swego czasu, lecz gdy ponownie zaczął mówić:

— Posłuchaj, Maud...

— To pan, Morailles? — zapytał jakiś głos męski, w przerwie bowiem połączono go z kim innym.

— Tak, to ja, a pan?

— To ja...

— Co za ja?

— Ja, Maurycy Le Chars. Wreszcie! Od dwudziestu czterech godzin nie można się z panem połączyć.

— Ach, to pan. Dzień dobry.

— Niech pan nas uspokoi. *Matin* poranny... pojedynki?...

— Zdrow i cały, raniłem Hartenberga.

— Ciężko?

— Dość...

— Niech pan powraca do Roche-Forte. Koniecznie.

— Koniecznie? Co się stało?

— Pani Morailles doznała dwóch wstrząśnięć. Dzieci omal się nie utopiły. Wyratowane, niema najmniejszego niebezpieczeństwa.

— I?

— Ma halucynacje spowodowane ukąszeniem żmii.

— Żmii? W parku?

— Nie, w pokoju...

— Pan chyba żartuje?

— Nie mam najmniejszej chęci...

— Więc żona?

— Znajduje się w strasznym stanie... Nie poznaje nas... delirium.

— Ukąszenie niebezpieczne.

— Nie, nie sądzę.

— Czy był doktor Morane?

— Tak, zaproponował konsylium ze swym siostrzeńcem, który zna się dobrze na chorobach nerwowych. Co pan na to mówi?

— Nic, nie znam dosyć jego siostrzeńca. Przywiozę z sobą doktora z Paryża, przyjadę wieczorem między ósmą a dziewiątą.

— Tak późno?

— Niemożliwe wcześniej. Tysiące spraw do załatwienia. Ale panie....

— Co takiego?

— Akcyje Salentin ciągle idą w górę...

— Jeszcze nie czas je sprzedawać?

— Korzystać nie byłaby dość duża, lepiej poczekać.

— Dziękuję za radę, ale stan markizy niepokoi mnie bardzo...

Połączenie telefoniczne znowu przerwano. Markiz pospiesznie wyszedł, radując się z otrzymanej wiadomości. Żona swoją egzaltacją pomaga mu tylko w wykonaniu zamierzonego planu. W kwadrans potem markiz razem z doktorem Saffroy znajdowali się w gabinecie restauracji klubu *Aeroplan*. Obydwaj byli w doskonałych humorach, podniesieni nadzieją doprowadzenia do skutku swych zamiarów. Saffroy zastanawiał się tylko, jaką sumę podać markizowi za pobyt jego żony w instytucie, by była nie za małą, a zarazem, by przypadkiem zbyt wielką nie zniechęcić go. Dwadzieścia? Dwadzieścia pięć tysięcy franków na rok?

— Dzisiejsze popołudnie ma doktor wolne?

— Nie, lecz pan markiz zawsze może mną rozporządzać.

— Bardzo dziękuję. Chciałem właśnie dzisiaj zwiedzić ten instytut... ten dom zdrowia w Autenil. Twarz Saffroy'a ożywiła się.

— Nic łatwiejszego. Zatelefonować do Cruxa...

— O, nie, wolę go zastać niespodziewanie, przekonać się samemu...

— Bardzo dobrze, bardzo dobrze!

— A więc jedźmy!

W kilka minut potem wyszli z klubu i wsiedli do samochodu.